



PISMO TYGODNIOWE.

Numer pojedynczy. . Mk. **2.50**
 Kwartalnie z przesyłką Mk. 25.—
 Za gran. kwart. z przes. Mk. 40.—
 Wiersz inseratowy. . Mk. 4.—
 Zmiana adresu 1 mk.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
 Warszawa, Al. Jerozol. 21, m. 18.
 Telefon 78-86.

Konto czekowe: 532.

Rękopisów nie zwraca się.

Nie wolno dłużej milczeć.

Artykuł poniższy został przed tygodniem przesłany re-
 cji „L'Humanité“.

Mam przed sobą szereg numerów „L'Humanité“ z pierw-
 szych dni maja. Tow. Andre Pierre i Paul Louis nie zawsze
 w zgodnym dwugłosie atakują tam Polskę i jej politykę wojen-
 ną, która ujawniła się ostatnio wyparciem wojsk bolszewickich
 z prawobrzeżnej Ukrainy i zajęciem Kijowa. A ponieważ tow.
 Andre Pierre pyta wprost: „Que upeuseut cette nouvelle guerre
 les socialistes polonais? Soutienneut-ils leur gouvernement
 dans cette aventure?“ („L'Humanité“ de 30 Avril), przeto pro-
 szę szanowną redakcję bratniego organu francuskich Towarzyszy
 o umieszczenie mojej odpowiedzi.

Jeżeli wypadnie nieco dłuższa, proszę, pomimo to, o go-
 ścinę na łamach „L'Humanité“, już choćby dlatego, że dotąd nie
 miałem sposobności nigdy z tej gościnności korzystać.

I.

Przed wielu laty, jeszcze przed wojną światową, miałem
 sposobność w liście do tow. Jaures'a, tego prawdziwie wielkiego
 człowieka i wielkiego Francuza, zwrócić Jego uwagę na olbrzy-

mi problemat Wschodu Europy, zaniedbany w zupełności przez socjalistów Zachodu. Wskazałem w liście na przygotowującą się z elementarną siłą rewolucję nie tylko społeczno-polityczną, lecz i narodową na ogromnej przestrzeni państwa carów.

Po za nielicznymi wyjątkami towarzysze z Zachodu niewiele znali, a jeszcze mniej się troszczyli o losy narodów, zamieszkujących Europę na wchód od Elby. Zajęci swoją walką społeczno-polityczną, uważali kwestje narodowe Europy Wschodniej za reakcyjny „nacjonalizm“, szowinizm i t. d. Oni, którzy widzieli szalone napięcie wojenne między Francją a Niemcami o 1½ miliona ludności Alzacji i Lotaryngji, nie widzieli ani Polski, ani Ukrainy, ani Estonji, ani Łotwy czy Litwy, nie zrozumieli konieczności historycznej stu milionów ludów Wschodu. Nie rozumieli, ani często nie chcieli rozumieć, że Wschód Europy tak samo musi się zorganizować kiedyś w niepodległe państwo narodowe, jak Zachód. Lekceważąc sprawę narodów Wschodu, popierali przez tę oburzającą ignorancję (ignorance revoltante) panowanie caratu nad temi narodami. Ilekż gorzkich rozczarowań rozegrało się w sercach socjalistów na Wschodzie, wobec tego kompletnego niezrozumienia problemów życiowych Wschodu; ile szkód poniosła sprawa socjalizmu, ile zbrodni pokryła ta ignorancja płaszczem milczenia, ile dziecinnych fałszów z niej się wylęło, to historia kiedyś oceni.

(Wojna światowa obaliła na wschód od Elby trzy trony, trzy dynastje, ale i rozbiła trzy państwa ucisku narodowego. Procesu tego, niestety, nie zrozumiał w czasie wojny światowej żaden wybitny socjalista Zachodu; żaden z nich nie znalazł ani jednego słowa, godnego słów prezydenta Wilsona...

Interesującą rzeczą byłoby wyjaśnienie tego uderzającego zjawiska.

Otóż państwowy ucisk nad narodami dokonywał się nie tylko przez aparat urzędniczy i przez armję, lecz także przez wynaradawianie, przez ucisk religijny, językowy, kulturalny, przez wyzysk ekonomiczny i przez krzywdzenie danego narodu na korzyść interesów „narodu panującego“. „Vae Victis!“ rozbrzmiewało na wszystkie sposoby na całym Wschodzie Europy.

Wreszcie trzy największe więzienia ludów, trzy monarchiczne bastylle Wschodu Europy zostały w r. 1917 i 1918 zburzone. Na ich gruzach powstać miały wolne państwa narodowe. Proces ten powstawania niepodległych państw narodowych na gruzach monarchji Hohenzollernów, Habsburgów i Romanowych jest, mojem zdaniem, główną częścią rewolucji, która ogarnęła Wschód Europy. Kto w dziejach ludów na Wschód od Elby po r. 1917 widzi tylko rewolucję w Petersburgu czy w Moskwie, kto błogosławi lub przeklina dźwięk nazwisk Kiereńskiego czy Le-

nina, jako reprezentantów ruchu rewolucyjnego w Rosji, a nie widzi powstania Finlandji, Estonji, Łotwy, Polski, Ukrainy i wolnych państw Kaukazu, ten nie wie, co się dzieje obecnie na Wschodzie, ten nie rozumie znaczenia upadku tych trzech państw ucisku narodowego. Nie mogę się na ten temat dłużej rozpisywać, ale na jedno zjawisko warto zwrócić uwagę szerokiej publiczności francuskiej. Oto w nowowybranym parlamencie państw takich, jak: Estonja, Łotwa, Litwa—ogromne ilości mandatów uzyskali socjaliści. Narody to chłopskie, wybory odbywały się po raz pierwszy, a pomimo to, np. towarzysze francuscy dalekiemi są od cyfr stosunkowych estońskich, litewskich czy łotewskich grup parlamentarnych. Skąd to pochodzi? Oto stąd, że z upadkiem Rosji runął w tych trzech państwach cały aparat ucisku narodowego, który pokrywał się z uciskiem politycznym i społecznym. Nie wybrano też tam bolszewików.

Czy w twierdzeniach moich leży zamiar zlekceważenia całego ogromu znaczenia rewolucji bolszewickiej? Wcale nie. Kto znał Rosję przedwojenną, ten nie może wyjść z osłupiającego podziwu z powodu zwycięstw bolszewików w narodzie rosyjskim. Aby je zrozumieć, należy uprzytomnić sobie, że zwycięstwa te były możliwe tylko w Rosji, gdzie panowanie caratu było ostateczną dekadencją i zwyrodnieniem władzy, gdzie utworzenie 10-milionowej armji musiało skończyć się rozkładem tej armji, gdzie kapitalizm był tworem w znacznej mierze sztucznym i słabym. Pomimo to, zwycięstwo bolszewików nad największą machiną ucisku i największą armją budzić będzie podziw i uwielbienie w sercach milionów.

Mniej jednak podziwu, i już nie uwielbienie, lecz przerażenie budzić zaczyna ekonomiczna polityka bolszewików, nie obejmująca 80% narodu rosyjskiego, mieszkającego na wsi, a zamieniająca wszystkie miasta w zbiór głodu i błota.

Ale nie chcę przez to wdawać się w krytykę zasad i praktyki życiowej bolszewizmu, który uważa takich znanych w socjalizmie światowym towarzyszy, jak Kaunsky'ego, Longuet'a i Frydryka Adlera za „zdrajców socjalizmu“; nie chcę prowadzić żadnej polemiki z bolszewizmem i zostawiam ją przedewszystkim socjalistom — rosyjskim. Nie zamierzam jednak wcale wkradać się w łaski bolszewików, akceptując każdą notę Czerwina, każdą mowę Lenina, lub drząc przed każdym manifestem wojennym Trockiego...

Jestem zwolennikiem socjalnej demokracji, ośmiogodzinnego dnia pracy, związków zawodowych, spoczynku robotnika co tygodnia i wrogiem niewolniczej militaryzacji. Nie wdycham ani do „armji pracy“, ani do dyktatury dyrektorów fabryk, ani

do 12 godzin pracy, ani do pracy na 1 maja. Jestem zatem silnie „podejrzany“...

Pomimo całego podziwu dla zwycięstwa bolszewików w Petersburgu i Moskwie, uważam, że bolszewicy zadali ciężki cios rewolucji na terytorjum dawnego państwa carów, gwałcąc zasadę niepodległości narodów. Ich pochód na Wilno w r. 1918 i zdobycie Wilna uprzytomniło całemu Wschodowi, co mu grozi. Nazywało się to i nazywa „niesienie sztandaru rewolucji socjalnej“ do innych narodów. Przypomina to czasy Napoleona, który z stokróć większem szczęściem wojennem zdobywał Prusy, Austrię, Hiszpanję, Rosję tak długo, aż skończył straszliwą katastrofą. Napoleon był oparty o Francję, kraj najwyższej cywilizacji i kultury, bolszewicy opierają się o — Rosję, która przed czterema laty była krajem ciemnoty i głodu. Ale gdyby dzisiejsza Rosja mogła nawet porównać się do ówczesnej Francji, to jeszcze metoda szerzenia rewolucji bolszewickiej przy pomocy „czerwonej armji“, kalumniatorskich odezw i — pieniędzy — posyłanych do ościennych narodów, to jeszcze narzucanie tym narodom formy państwowej „sowjetów zfederowanych z rosyjską republiką“, niezwykle podobnem było do metod dziwnie dobrze znanych na Wschodzie — metod rządu carskiego!

Polska tych metod uznać nie mogła i nie chciała i rozpoczęła wojnę obronną przeciw Rosji. Wojna ta toczy się już piętnaście miesięcy. Niektórzy towarzysze francuscy sądzą, że Polska jest tylko pionkiem w ręku państw Ententy. Jedni z nich przybierają wobec Piłsudskiego ton obrażający, drudzy odbarczają go poufale życzliwymi uwagami. Nie rozumiał ani jego, ani stanowiska Polski ani jeden z towarzyszy. Stąd szereg fałszywych tonów, które jednych boją, drugich śmieszą.

Polska, walcząca z Rosją, walczy najpierw o swoją własną niepodległość. Walka ta opiera się na całym systemie stosowania zasady niepodległości narodów na Wschodzie. Broniąc swojej niepodległości, jest Polska sojuszniczką innych narodów, walczących o swoją wolność. Jest naturalnym sprzymierzeńcem Finlandji, Estonji, Łotwy, Litwy, Ukrainy, t. j. swoich sąsiadów, niedawnych swoich współwięźniów w wielkiem rosyjskiem więzieniu. Ani jednego żołnierza swego stopą nie stanęła Polska dotąd na rosyjskiej ziemi. Wilno, Mińsk, Dynaburg, Żytomierz, Kijów nie są rosyjskimi centrami. To kraje nie rosyjskie, choć państwo rosyjskie te kraje podbiło i w długiej niewoli trzymało. Rosyjskim był tam czynownik, żołnierz i w małej części posiadacz wielkiej posiadłości, którego pradziad dostał „donację“ od cara przy rozdzielaniu zrabowanych posiadłości między jenerałów dygnitarzy rosyjskich.

Piłsudski nie mógł by prowadzić wojny nawet przez kilka miesięcy przy pomocy choćby całej Ententy, gdyby nie był wyrazicielem obrony niepodległości Polski, opierającej się na niepodległości narodów sąsiednich. Za to zwalcza go reakcja polska z Dmowskim na czele, za to przez półtora roku Narodowa Demokracja polska nie wahała się robić na niego zamachów politycznych i osobistych, za to zwalczają go te potęgi w Europie, które chcą wskrzesić dawną Rosję, albo przynajmniej Rosję w dawnych granicach (bez etnograficznej Polski). Walka ta jest niezmiernie pouczająca dla zrozumienia kapitalizmu powojennego Zachodniej Europy. Prąd, dążący do utrzymania panowania Rosji w Wilnie i w Kijowie, na obcych ziemiach, jest prądem reakcyjnym i równocześnie kryje w sobie zarzewie wiecznej wojny na Wschodzie. Nie rozumiem zatem absolutnie, za co Polskę zwalczają tak zajadle i tak nieraz nieprzyzwoicie niektórzy socjaliści francuscy?

Wyrzuciwszy bolszewików z Wilna, wydał Piłsudski odezwę z 22 kwietnia 1919, w której wyraźnie oświadczył, że o losach kraju sama ludność postanowi. Ściągnął za to na siebie nienawiść szaloną Narodowej Demokracji. Zdobywszy Letgalję i Dynaburg, oddał je państwu Lotewskiemu. Zdobywszy Żytomierz i Kijów, oddaje je wolnej Ukrainie. Mając przez rok cały przeważającą siłę wojskową, nie poszedł na Kowno, chociaż Litwini byli przez cały ten czas pod wpływem pruskiej partji wojennej i ustawicznie odgrzaali się Polsce.

Dziwny to „imperjalista“, ten Naczelny Wódz armji polskiej i wybrany przez Sejm Naczelnik Państwa.

II.

Dnia 21 września 1919 Polska Partja Socjalistyczna uchwaliła rozpocząć energiczną akcję za pokojem z Rosją. Zdawało nam się, że w pierwszych miesiącach po naszej uchwale, warunki dla pokoju układają się pomyślnie. Bolszewicy pobili Denikina, Judenicza i Kotezka, finansowanych przez Anglję i Francję przy pomocy miliardów, żołnierzy i oficerów. Front polski stał dość nieruchomo.

Wówczas generalissimus bolszewicki Trocki zapowiedział w pogardliwy, urągający sposób rzucenie ogromnych wojsk rosyjskich na polski front „maruderów kontrrewolucji“. Zaczęła się wielka akcja wojenna bolszewików, trwająca do tej chwili. Akcja wojenna, posługująca się w równej mierze koncentracją wojsk aż z Sybiru i z pod Krymu, jak i — notami pokojowemi, adresowanemi do rządu polskiego i do rządów Ententy.

Pomimo tego byliśmy za wszczęciem rokowań pokojowych, bo wojna niszczy oba narody i utrudnia rozwój Europy w kierunku socjalizmu. Nasze staranie, nasze walki w Sejmie i po za Sejmem zdawały się w lutym bliskie zwycięstwa. Tymczasem w środku trudnych przygotowań i prac polskich sfer pokojowych, rozległa się kanonada bolszewickiej ofensywy, zaczętej dnia 18 marca, w dzień zamachu Kappa i Luetwitza w Berlinie, przepowiedzianego na dwa miesiące przed tem listem K. Radka do mnie. Nie wchodzę tutaj w rozważanie, czy między Rządem Komisarzy w Moskwie a pp. Kappem i Luetwitzem istniało porozumienie, ale ofensywa nastąpiła nagle, przedwcześnie, na drogach prawie niemożliwych. Równocześnie Europę obiegały depesze, że Warszawa się pali, a rząd polski uciekł przed rewolucją bolszewicką na prowincję...

Reżyserja była obmyślana.

Ofensywa rozbiła narazie pokój i pociągnęła za sobą klęskę Rządu Komisarzy na Ukrainie. To samo być może z najnowszą ofensywą generała Brusilowa na Berezynę, chociaż losów wojny nie należy przepowiadać.

P. P. S. była i jest czynnikiem pokojowym. Sprzeciwiała się z całych sił wojnie o Ukrainę, ale nie dla wyrzeczenia się zasadniczego żądania niepodległości dla Ukrainy, lecz dlatego, bo wierzyła, że raz zaczęte rokowania pokojowe doprowadzą na drodze porozumienia do tego samego celu.

Rozegrała się tragicomiczna na pozór walka iskrówek polskich i bolszewickich o — Borysów. P. P. S. spełniła swój obowiązek — i atakowała rząd polski, aby zgodził się na jakiegokolwiek inne miasto. Obciążała odpowiedzialnością dyplomację polską, oczekując objawienia rzeczywistych zamiarów pokojowych ze strony Rządu Komisarzy. Jednego tylko uczynić nie mogła: sparaliżować armji polskiej i rozbroić ją wobec armji rosyjskiej.

P. P. S. wie bowiem dokładnie, że na czele armji rosyjskiej stoi korpus oficerski i naczelny wódz i jeneralicja, która ani z socjalizmem, ani z bolszewizmem nic nie ma wspólnego. Jeżeli żaden z socjalistów polskich nie dążył do tego, aby Trocki dyktował w Warszawie, jaki ma być porządek polityczny, społeczny i narodowy w Polsce, to żaden z nich nie życzy nigdzie zwycięstwa pp. Brusilowowi, Poliwanowowi, Hutorowi, Klembowskiemu i t. p. bohaterom armji Mikołaja II. Jeżeli tego nie zrozumie socjalista francuski, to mogą tylko nad tem ubolewać, ale żadnej uwagi nie mam do stracenia w tej materji.

Natomiast jedna refleksja narzuca się każdemu myślącemu socjaliście. Oto Rząd Komisarzy wezwał wszystkich generałów Mikołaja II do Naczelnej Komendy nad „czerwoną“ armją rosyjską. Była to ofiara ogromna, była rezygnacja z własnych stano-

wisk, było przyznanie się do przegranej wojennej. Ale takich ofiar nie robi nikt dla osiągnięcia pokoju. Karta pp. Brusilowa i Poliwanowa musi być przeciw Polsce rzucona do gry, ale do gry wojennej! Gdyby Rząd Komisarzy chciał pokoju, nie mobilizowałby najslawniejszych generałów Mikołaja II. Rząd Komisarzy nie chce jeszcze pokoju, bo gdyby go chciał, może go mieć każdej chwili. Ani Rosjanie nie mają ziemi polskiej, ani Polacy rosyjskiej. Żadna ze stron nie jest obalona na ziemię, żadna nie ma powodu do „wojny świętej“... Wojna toczy się na terytorjach nie rosyjskich, ani nie polskich. Polska je wyzwala, Rosja pragnie nadal pod swoim utrzymaniem. Tylko rokowania pokojowe mogą doprowadzić do omówienia i wyrównania dwu systemów, z których jeden broni prawa narodów do niepodległości, drugi — rewolucji. P. P. S. chce doprowadzić do takiej dyskusji przy stole rokowań pokojowych, nie ustaje w swej roli nacisku na rząd polski, aby do stołu zasiadł. Czeką na najlepszą bodaj akcję równoległą narodu rosyjskiego. Tu jednak nie wystarczy radjotelegramy zręcznego — ach — jak zręcznego — Komisarza Człezierina, lecz trzeba czynu. Za taki czyn rewolucyjny nie można w żadnym razie uważać nominacji pp. Brusilowa i Poliwanowa...

Pokoju muszą chcieć obie strony. Gdyby towarzysze francuscy, czy angielscy potrafili swoim przemożnym wpływem u Lenina i Trockiego skłonić ich do pokoju, spotkaliby się u P. P. S. z żywą, serdeczną wdzięcznością. Gdyby im odradzili dalszej walki o cudze ziemie i łączenia się z kontrrewolucyjnymi generałami, wówczas pokój zawitalby na Wschód Europy, wówczas i Polska i Rosja i cała Europa odetchnęłaby po sześciu latach wojny. Zaczęłaby się praca inna, w której my, polscy socjaliści, moglibyśmy obok braci całego świata przyczynić się do innych zwycięstw, niż te, które światu może dać bagnet i karabin maszynowy.

III.

Tych kilka uwag, nie mogących, niestety, wyczerpać nawet głównych celów tego artykułu, proszę przyjąć nie jako polemikę z towarzyszami francuskimi, lecz jako wyraz tęsknoty do tych czasów, w którychby ruch socjalistyczny, tak potężny we Francji i praca duchowa gienjusza francuskiego mogły znaleźć inne w Polsce echo, niż dotychczas. My, polscy socjaliści, chcemy aby francuscy towarzysze byli lepiej rozumiani w Polsce. Ale na to trzeba żeby oni sami lepiej rozumieli Polskę i jej położenie wśród Wschodu Europy.

Warszawa, dnia 30 maja 1920 r.

Ignacy Daszyński.

Organizacja pomocy lekarskiej.*)

I.

Artykuł poniższy porusza sprawę niezmiernie ważną, będącą na porządku dziennym i przekraczającą kompetencję specjalnych pism lekarskich.

Zwięzła ocena fatalnego stanu obecnego i tezy zasadnicze artykułu dra Z. Kramsztyka w Nr. 14 „Tybuny“ są najzupełniej słuszne:

„Pomimo trudności sprawa musi być ona rozwiązana, a przedewszystkiem musi być podjęta. Żadna z dotychczasowych epok historii nie nadawała się tak, jak chwila obecna, do szerokich reform społecznych, nie zmuszała tak do nich“.

I na to zgoda, że kasy chorych tej potrzeby w pełni nie zaspokoją. Staną się one jednak najszerszą, jaką jest narazie do pomyslenia, podstawą organizacyjną i finansową demokratyzacji medycyny. Warstwom społecznym przez kasy chorych nie objętym, wobec groźnego u nas braku lekarzy i instytucji leczniczych stanie otworem i stanie się dla nich koniecznością przyłączenia się do akcji kas chorych w formie zrzeszeń dobrowolnych, kooperatyw leczniczych. Ponieważ poza kasami chorych pozostaną warstwy zamożniejsze o wyższej skali życiowej, przyłączenie się ich dobrowolne może wpłynąć dodatnio na podniesienie poziomu wspólnych instytucji leczniczych. W naszych średniowiecznych podręcznikach medycyny można znaleźć, obok bardzo zawitych rad w danej chorobie dla zamożnych, (dla „panów“) zalecenia bardzo proste nie mające z powyższymi nic wspólnego na wypadek, gdy kto z „ludzi“ zachoruje. Dziś ani lud wiejski, ani proletarijat przemysłowy nie chce i chceć nie może jakiegóś osobnej ludowej, czy proletariackiej medycyny. I tu nie różnimy się z Autorem, że sieć instytucji leczniczych musi być wspólna dla wszystkich warstw narodu, a poziom jej należy z całych sił podnieść do wysokości najnowszych wymagań nauki.

*) Do artykułu dra Zyg. Kramsztyka w Nr. 14 „Trybuny“ — głos dyskusyjny, który sprawy powyższej przez dr. Z. Kr. bynajmniej nie rozstrzyga, tylko oświetla z innego nieco punktu widzenia. Dla tej palącej kwestji „Trybuna otwiera ramy dyskusyjne. Głos winni zabrać nie tylko lekarze, ale i społecznicy.

Z przykrością musimy zaznaczyć, że artykuł niniejszy był już złożony, gdy doszła nas wiadomość o śmierci Zygmunta Kramsztyka, który jeszcze na dwa dni przed zgonem pisał dla „Trybuny“ artykuł o „Kasach chorych“. Nie wątpimy, że dr. Zygmunt Kramsztyk podjąłby polemikę w tej tak ważnej sprawie.

Ze względu na ekonomję tak szczupłych u nas sił lekarskich i instytucji leczniczych na tej drodze da się ograniczyć nadmierne marnowanie ich na praktykę prywatną, szczególnie domową.

W tych wspólnych instytucjach pomoc lekarska musi stać na jednym możliwie wysokim poziomie i być jednakowo opłacaną, ale w szpitalach i uzdrowiskach należy mieć przynajmniej dwa typy stołów, czy pensjonatów, gdyż uzdrowisko wtedy tylko cel swój osiąga, jeżeli daje sumę warunków choć trochę wyższą od tej, jaką pacjent miał w domu. Pensjonaty tańszego typu powinny się tylko opłacać, a droższego mogą przynosić zyski organizacji. Powstrzymanie na tej drodze możliwie znacznej liczby chorych zamożnych od wyjazdu zagranicę i wywożenia znacznych sum pieniędzy byłoby poważnym przyczynkiem do podniesienia naszej waluty. Przy dalszym rozwoju, w małowinnych, zdrowych a ubogich okolicach kraju przyrodolecznictwo i letnictwo za przykładem Szwajcarii, mogłoby się stać poważną podporą budżetu narodowego. Na tej drodze medycyna z łacianza, żyjącego z zarobków innych fachów może się stać twórcą nowych warsztatów zarobkowych, nowych instytucji kulturalnych dla siebie i innych, gdzie z grubej warstwy odpadków społecznych w postaci chroniczków, wśród ludu wcale dotychczas nie leczonych, da się jeszcze wielu zdrowie i zdolność do pracy przywrócić. Na budowę tych instytucji zdobędziemy się powoli, ale rozległe terytory dla nich najodpowiedniejsze, zapasowe płuca i żołądki chorej ludności miejskiej, należy wybrać i zarezerwować jak najspieszniej. Po rozparcelowaniu ich będzie zapóźno. Państwo musi dać ten niezbędny fundament naszego odrodzenia, w miarę możliwości dostarczać przy pomocy tradycyjnej ofiarności funduszków żelaznych i subsydjów na budowę, ale wszystko zdrowo rość na tem może tylko zdolu — w kasach chorych, związkach zawodowych i kooperatywach przy najczystszej udziale pracujących w nich lekarzy. Te zrzeszenia muszą same zdobywać kapitał obrotowy, z nich muszą wyłonić się stopniowo centrale wspólnych zakupów, wytwarzania i wspólne instancje apelacyjne nie tylko w kraju, ale i za granicą, o ile chodzi o specjalne kuracje klimatyczne. W Ministerjum Zdrowia skupić się powinna statystyka, państwowa kontrola sanitarna, prace wydawnicze, specjalne instruktorstwo, organizacja ogólna walki z epidemjami i chyba nie ponadto.

Zupełnie nieuzasadnionem wydaje się proponowane przez Autora rozwiązanie praktyczne tego niezmiernie trudnego zadania:

„Ujęcie tej sprawy w swoje ręce, jej rozwiązanie, czy też stopniowe dążenie do jej rozwiązania, należy do Ministerjum Zdrowia Publicznego“...

„Lekarz pracować będzie określoną liczbę godzin w zakładzie, jaki mu w danej chwili będzie wskazany, w ambulatorjum, czy w szpitalu, czy też będzie odwiedzał chorych w ich mieszkaniach. A

cała jego działalność będzie przez państwo opłacana ryczałtowo, będzie pobierał stałą pensję“.

Jednym słowem — upaństwowienie, biurokratyzacja pomocy lekarskiej. Za takim rozwiązaniem nie przemawia, prócz jego prostoty, a bardzo wiele przemawia przeciw.

Ne znamy wyższych organizmów o prostym ustroju. Nie należy też projektować tak uproszczonych organizacji państwowych do osiągnięcia celów tak niezmiernie złożonych.

Zresztą jest to rozwiązanie nie nowe. Wszystkie państwa praktykowały upaństwowienie pomocy lekarskiej w armji, gdzie to jest absolutną koniecznością. Wiemy, o ile niższą maogól była ta medycyna od medycyny naukowej. W państwach najkulturalniejszych i najbogatszych podnosił się jej poziom stopniowo kosztem olbrzymich nakładów i dotkliwego ogalacania z pomocy lekarskiej ludności cywilnej na czas wojny.

Napoleon Czarnocki.



Wrażenia delegacji na kongres kobiet w Ameryce.

II *).

Część uczestniczek kongresu rozjechała się przed jego ukończeniem, które nastąpiło w dn. 4 listopada, część pozostała na oficjalnym Kongresie Pracy, inne zaś w tej liczbie polska delegacja, skorzystała z zaproszenia filadelfijskiego oddziału Ligi Kobietych Związków Zawodowych, oraz zarządu kolegium kobiecego w Bryn Mawr pod Filadelfją. W Filadelfji zwiedziliśmy kilka nader ciekawych zakładów przemysłowych, w Bryn Mawr zaś prócz kolegium kobiecego, na którego czele stoi córka byłego prezydenta Miss Taft, poznałyśmy typ niewielkiego przedmieścia z jego instytucjami społecznymi, mieszkanie komfortowymi domami prywatnymi, doskonałymi drogami, oraz z świetną komunikacją samochodową i kolejową. Między innymi wprowadzono nas do t. zw. Centru Społecznego (Community Centre). Jest to rodzaj klubu, do którego mają wstęp wszyscy bez wyjątku mieszkańcy danej wioski lub miasteczka, Centr rozporządza własnym lokalem, urządza koncerty, zabawy, od czasu do czasu, udziela lokali innym stowarzyszeniom, np. harcerzom. U podstawy przyświeca mu

*) Patrz zeszyt 19 „Trybuny“ z 15 maja.

pono myśl harmonijnego zespolenia różnych klas społecznych na gruncie towarzysko-kulturalnym. W praktyce rzecz przedstawia się dość skromnie, nie zapowiadając poważniejszego rozwoju.

Jak Amerykanie pojmują obowiązki gościnności, ilustruje najdosadniej fakt następujący. Przed ukończeniem kongresu komitet gospodarczy zapytywał poszególnie grupy delegatów, co pragnęłyby jeszcze poznać, korzystając z obecnego przyjazdu do Ameryki. Dla łatwo zrozumiałych względów Polki wybrały Buffalo i Chicago. Życzenia nasze spełniono skwapliwie.

Członkinie Y. W. C. A. ułatwiły nam nasamprzód podróż do Buffalo na Sejm Wychodźstwa Polskiego, stąd po drodze zwiedzałyśmy wodospady Niagary i jedną z fabryk położonych nad niemi, poczem udałyśmy się do Chicago.

Na Sejmie Wychodźstwa obecne byłyśmy tylko na dwu posiedzeniach. Było to niewątpliwie imponujące zgromadzenie, skoro liczyło około tysiąca zebranych przedstawicieli lub, jak ich nazywano, posłów od $3\frac{1}{2}$ miliona wychodźców polskich. Ogromny odsetek wśród posłów stanowili księża. Byli zresztą i redaktorzy wielu pism polskich, byli księża i biskup t. zw. Narodowego Kościoła (Polskiego), był poseł Rzeczypospolitej w Stanach ks. Lubomirski z sekretarzem poselstwa p. Puławskim, byli reprezentanci Komitetu Narodowego w Paryżu, R. G. O. z Warszawy, przemawiał przewodniczący komisji pomocy żywnościowej na całą Europę Hoover, znany nam jako gorący przyjaciel Polski, poproszono o głos i nas, skromną delegację robotniczą, brakło tylko niestety przedstawicieli miejscowych zorganizowanych robotników. Podobno otrzymali oni zaproszenie pro forma i ze względów formalnych utracano ich przedstawiciela. Był to dysonans, który przeszedł niepostrzeżenie, który nie miał znaczenia przy zrealizowaniu celów Sejmu, mającego na oku podobnie jak pierwszy głównie względy pomocy finansowej dla Polski. Bądź co bądź jednak nieobecność lewicy jest rzeczą niepraktykowaną dzisiaj w żadnym ciele reprezentacyjnym, tem jaskrawszą w takim, które miało być wyrazem zgodnej miłości dla Matki-Ojczyzny. Ten nastrój Sejmu przykro uprzedził większość naszych delegatek, które nader krytycznie odniosły się do charakteru zgromadzenia. Stąd też głos zabrawłyśmy tylko dwie: p. Olszewska imieniem robotników łódzkich prosiła dla nich nie o jałmużnę lecz o umożliwienie im pracy przez uruchomienie przemysłu i dostarczenie surowca dla produkcji; ja zaś zobrazowałam pokrótce wysiłki rządu i urzędów w budowaniu Państwa Polskiego, specjalnie zaś działalność Ministerjum Pracy, zatrzymałam się nad bezrobociem i walką z niem, pochłaniających olbrzymie sumy.

Druga ogromnie bolesną stroną Sejmu był jego nastrój partyjno-polityczny. Gustowne ozdoby poselskie zakończone były portretem Paderewskiego; w przemówieniach, gdy wymieniano czynniki stojące u steru budowy Rzeczypospolitej, nikt nawet nie wspominał

osoby i nazwiska Naczelnika Państwa i dopiero p. Pułaski odważył się wyliczyć razem: Naczelnika, Sejm i Rząd; w mojem przemówieniu przyjmowano najchętniej te ustępy, które podnosiły zasługi Legjonów, P. O. W. i ich twórcy. Czuło się w tem wszystkim zastarzałą agitację w jednym kierunku, zaskorupiałość partyjną, do której nie zdążyły jeszcze dotrzeć powiewy zmian zaszłyh u nas w kraju.

To samo nieprzystosowanie do warunków zmienionego życia politycznego kładło się piętnem na formach zewnętrznych. Dla mnie urzędnika Rzeczypospolitej Polskiej, odwiedzającej jeden z krajów najbardziej demokratycznych, dziwnie brzmiały na jego ziemi te wszystkie „ekscelencje“, „prześwietne izby“, „wysokie sejmy“, dziwnie brzmiał tytuł hrabiego obok nazwiska wnuka barszczan, razil nawet sam tytuł sejmu i posłów, które zwykliśmy wiązać z jedynem najwyższem przedstawicielstwem całej zjednoczonej Polski.

Te wszystkie śmieszności stają się zrozumiałemi, gdy zważymy, że większość uczestników stanowili już ludzie poważniejsi wiekiem, którzy dawno wyemigrowali z kraju, że najliczniejszego wychodźstwa dostarczała Galicja; zresztą drobiazgi takie okupują znakomicie wartości znacznie głębsze i większej wagi, gorąca współtroska o kraj porzucony i prawdziwa ofiarność w stosunku do jego potrzeb.

W Chicago Centrala Ligi Związków Kobięcych, która w tem mieście ma swoją siedzibę, na nasze życzenie skomunikowała nas z organizatorami-Polakami. Organizatorami w związkach amerykańskich nazywają osoby płatne, które zajmują się agitacją na rzecz związku, przytem pełnią te funkcje, jakie gdzieindziej przypadają sekretarzom. Zaznaczyć należy, że w związkach amerykańskich wogóle niema urzędów honorowych; wszystkie godności obieralne są płatne. Organizatorami bywają często, choć niezawsze, dawni członkowie danego Związku. Wpływy ich są bardzo znaczne, a zdarza się, że ich nadużywają. Bywały fakty, że udawadniano im przekupstwo i że strajki kończyły się lub wszczynaly odpowiednio do życzeń kapitału dzięki nieuczciwemu pośrednictwu organizatorów. Organizatorzy Polacy których mieliśmy sposobność poznać, zwłaszcza p. Kikulski, sprawiali wrażenie ludzi bardzo energicznych i uczciwych. Oczywiście władają oni biegle angielskim, w pracy swej bowiem stykają się z najróżnorodniejszymi narodowościami, z któremi porozumiewać się muszą w języku powszechnym w kraju.

Kilka dni, które przebyliśmy w Chicago, spędziliśmy wyłącznie wśród Polaków, podejmowane przez nich z prawdziwie bratniem uczuciem. Wprawdzie nie zetknęliśmy się z najbogatszą i najbardziej wpływową organizacją — Związkiem Narodowym Polskim, gdyż większość zarządu znajdowała się podówczas w Buffalo na Sejmie. Natomiast odwiedziliśmy bibliotekę i czytelnię Związku, dom Związku Polek, własny, piękny i wygodny, Bank Polski, którego jed-

nym z głównych akcjonariuszów jest p. Smólski, szkołę parafjalną św. Stanisława, lokal polskiego oddziału Związku Robotników Rzeźni, w których znaczną liczbę stanowią Polacy, wielki sierociniec dla dzieci polskich, zakład pod wezwaniem św. Anioła-Stróża dla dziewcząt pracujących, oraz przychodnię dla chorych, mieszcząca się w tym samym domu.

Buffalo ma 750,000 mieszkańców, liczy 160,000 Polaków, skupionych w jednej dzielnicy. Kiedy przejeżdżałem przez nią, dążąc do Domu Polskiego na Sejm, kiedy wzdłuż ulic pstrzyły się biało-czerwone dekoracje i Orły, kiedy w tramwaju i na ulicy słyszałem nokoło polską mowę, mogłam mieć złudzenie, że jestem w mieście nie-obcym. Tak samo w Chicago, tylko że tu i miasto samo jest olbrzymem i dzielnica polska wewnątrz niego stanowi całe dwa miasta. W Chicago mieszka jakieś 350,000 Polaków. W samych rzeźniach pracuje około 25,000 Polaków. W Chicago jest 46 kościołów polskich. Byliśmy w niedzielę na nabożeństwie w obszernym kościele św. Jana Bożego. Tuż obok już budują drugi pod tem samym wezwaniem, wspinały zarówno architekturą jak pod wpływem rozmiarów.

Polski Sierociniec położony tuż za miastem daje przytułek 750 dzieciom. Nigdy nie udało mi się dotąd widzieć zakładu dobroczynnego urządzonego z takim komfortem i czystością. Ogromne, prześliczne, widne sale sypialne i szkolne, specjalne pokoje dla zabawy dla maleństw, przestronne korytarze, odpowiednie sale jadalne, wzorowo urządzone warsztaty dla starszych wychowañców, lśniące posadzki, w każdym pokoju, rośliny w doniczkach, mnóstwo estetycznych obrazów i tablic na ścianach, biblioteczki w klasach — wszystko to nie ustępuje stronie gospodarskiej. Mam tu na myśli zaopatrzoną obficie spiżarnię, której rezultaty widoczne są na wyglądzie dzieci, jak również pierwszorzędne nowoczesne urządzenia techniczne, jakie zakład posiada, pralnię i suszarnię bielizny i magle elektryczne, kuchnię z najnowszymi udogodnieniami wzorowo utrzymaną, specjalne przyrządy do pieczenia chleba, do krajania, do przechowywania materiałów spożywczych, chłodnię, dalej niezwykle urządzoną składnicę odzieży i bielizny, wykwintne urządzenia kąpielowe, basen do pływania. Cały gmach posiada oczywiście ogrzewanie centralne, i temperatura wody utrzymywana jest stale na pewnym poziomie.

Pobyt nasz w Chicago zakończył się wielkim wiecem robotniczym. Przemawialiśmy wszystkie po kolei, a każde słowo schwymane było z ogromną ciekawością i entuzjazmem przez licznie zgromadzonych robotników i robotnice. Trochę rozezarowania wносиły ostrzeżenia przed wczesnym powrotem do kraju, gdzie o pracę tak trudno, a trochę przyniesionych dolarów można zjeść prędko mimo ich wysokiego kursu.

Dr. M. Bornsteinowa.

OSKAR WILDE.



Zabija każdy to, co kocha, —
 Tak świat od wieków trwa.
 A tego oczy gniewem płoną
 Ów fałsz ma ustach ma,
 Tchórz — pocałunek da obłudny,
 A śmiały — nożem dźga!

Jeden zabije miłość młodą,
 Drugi w starości dni,
 A jedne ręce żądzą gorą,
 Na drugich — złoto lśni,
 Dobry — pchnie nożem, bowiem tylko
 Żyjący z bólu drży...

Ten nadto kocha, tamten — gardzi,
 Ów miłość sprzeda rad,
 Ci kupią lub zادةczą śmiechem,
 Bo śmiercią żyje świat;
 Zabija każdy to, co kocha —
 Czy wszystkich czeka kat?

Ballada więzienia Reading.
 (Strofa 7—9).

Źródło: *Źródło: Płomaczyła Antonina Krzyżanowska.*

Fraszki sejmowe.

...Nie dojrzelismy jeszcze do zburzenia soboru...

Poseł Dombiński (152 posiedzenie 1/VI 1920 r.).

JACK LONDON.

Straszliwi solomończycy.

I.

Nie ulega wątpliwości, że archipelag Solomon jest dokuczliwą gromadą wysp, lecz niewątpliwie bywają gorsze miejsca na świecie. Tem nie mniej nowiejuszowi, nie mającemu zasadniczego pojęcia o pierwotnych ludziach i życiu, archipelag Solomon wydać się musi rzeczywiście straszliwy. Bo prawdą jest, że febra i dysenterja stoją tu ustawicznie na czatach, że panują wstrętne choroby skórne, że powietrze przepojone jest trucizną, wgrzającą się we wszystkie pory, w każde zacięcie lub zadrapanie, powodując złośliwe wrzody i że ci, wyjątkowo silni, ludzie, którzy uniknęli śmierci, powracali do kraju z całkowicie zrujnowanem zdrowiem. Również prawdą jest, że mieszkańcy wysp Solomon są dzikiem plemieniem, obdarzonem wybitnym apetytem na ludzkie mięso i słabością kolekcjonowania głów ludzkich. Szczytem zręczności jest pochwylenie człowieka z tyłu i wymierzenie mu przemyślnego uderzenia tomachwkiem, które oddziela kość pachyżową od podstawy czaszki. I zarówno prawdą jest, że na niektórych wyspach, na Malaita na przykład, wzrost i zanik stosunków wzajemnych oblicza się w zabójstwach. Głowy są jednostkami handlu wymiennego, niezmiernie są przytem cenione głowy białych. Często tuzin wsi urządza głodówkę i żyje niewiadomo jak miesiąc lub dłużej, dopóki jakiś dzielny wojak nie dostarczy białej głowy, świeżej i skrwawionej i nie zażąda kociołka.

A jednak, mimo, że prawdą jest wszystko powyższe, zdarzają się biali, którzy przebywali na wyspach Solomon po kilkanaście lat i odczuwają nostalgię po ich opuszczeniu. Należy tylko być uważnym i mieć szczęście—amożna tam mieszkać długo; lecz człowiek taki musi mieć również specjalne warunki. Musi mieć duszę naznaczoną znamieniem nieuniknionego białego człowieka. Musi być niesamowity. Musi mieć pewną wielką nonszalancję w stosunku do wszelkich różnic, pewien olbrzymi egoizm i rasową dumę, która utrzymywałaby go w mniemaniu, że jeden biały więcej jest wart od tysiąca Murzynów każdego dnia w tygodniu i czyniłaby go zdolnym do zabicia dwóch tysięcy Murzynów każdej niedzieli.

Są to rzeczy, czyniące białego człowieka nieuniknionym. Oh—i jeszcze — biały człowiek, który pragnie być nieuniknionym, musi nienawidzić pomniejszych plemion i być o sobie bardzo dobrego mniemania; nie powinien również mieć zbyt rozwiniętej wyobraźni. Nie należy, by zdawał sobie sprawę z instynktów, zwyczajów i procesów myślowych czarnych, żółtych i brązowych, gdyż to nie w ten sposób biała rasa szła swą królewską drogą wokół świata.

Bertie nie był takim nieuniknionym człowiekiem. Był zbyt wrażliwy, zbyt słaby i miał nader bujną imaginację. Świat się nim bardzo zajmował, a on rzucał się zbyt gorączkowo w wir życia swego otoczenia. Dlatego ostatniem miejscem na ziemi, gdzie mógł przyjechać, były wyspy Solomon. Nie udał się w podróż z tym zamiarem, Pięciotygodniowy pobyt wśród marynarzy powinien był zadowolnić jego pragnienia życia pierwotnego, potracające struny jego życia. Przynajmniej tak powiedział turystkom na „Makembo“, chociaż imniei słowami; a one uwielbiały go, jak bohatera, gdyż były turystkami i chciały jedynie wiedzieć, czy można bez narażenia się na niebezpieczeństwo przebywać na pokładzie okrętu, gdy płynąć on będzie pomiędzy wyspami Solomon.

Był jeszcze drugi mężczyzna na okręcie, na którego panie nie zwracały uwagi—mały, pomarszczony człowiek, z suchą skórą koloru mahoni. Jego nazwisko na liście pasażerów nic nie mówiło, lecz inne jego miano, kapitan Malu, było imieniem, które na Murzynów rzucało urok i które przerażało niesfornych rabusiów wszelkiej enotliwości od Nowego Hanoweru do Nowych Hebrydów. Eksploatował on dzikich i dzikość, i za pomocą febry raz ciężkiej pracy i batów dozorców wycisnął pięć milionów z drzewa sandałowego, perłowej macicy, szyldkretu, kości słoniowej, kopru, pastwisk, stacji handlowych i plantacji. Mały, złamany palec kapitana Malu miał w sobie więcej konieczności, aniżeli całe ciało Bertiego Arkwright. Lecz o tem panie turystki nie wiedziały, gdyż sądziły z pozorów, a Bertie był rzeczywiście ładnym mężczyzną.

Bertie gawędził z kapitanem Malu w palarni, zwierając mu się ze swego zamiaru przyjrzenia się życiu czerwonemu i krwawemu na wyspach Solomon. Kapitan Malu przyznawał, że zamiar jest śmiały i godny pochwały. Bertie zainteresował go w kilka dni później, gdy młody awanturnik począł nastawać na pokazanie mu automatycznego pistoletu 44 kalibru. Bertie objaśniał mechanizm i demonstrował go, wysuwając naładowany magazyn ponad celownik.

— To takie proste — mówił.

Przyciągnął zewnętrzną lufę do wewnętrznej.

— Widzi pan, tak się ładuje i nabija. A potem naciskam tylko kurek jednaście razy, tak silnie, jak jestem w stanie to uczynić palcem. Widzi pan, to jest bezpiecznik. To właśnie w nim lubię. Jest bezpieczny. Jest najzupełniej pewny. — Wysunął magazyn. — Widzi pan, jak jest bezpieczny.

Trzymał ów pistolet w ręku i otwór lufy znalazł się nawprost brzucha kapitana Malu. Niebieskie oczy kapitana patrzyły na nią bez mrugnienia.

— Czy nie zecheiałby pan zwrócić broń w innym kierunku? — zapytał.

— On jest zupełnie bezpieczny,—upewnił go Bertie. — Wyjąłem magazyń. Nie jest teraz nabity, wie pan.

— Broń jest zawsze nabita.

— Lecz ta nie jest.

— Niech ją pan mimo to odwróci.

Głos kapitana Malu był wyraźny, dźwięczny i spokojny, lecz nie spuszczał z oczu lufy, dopóki broń nie została skierowana w inną stronę.

— Założę się, że nie jest nabita — zaproponował z zapalem Bertie.

Kapitan potrząsnął głową.

Bertie przyłożył lufę do skroni z wyraźnym zamiarem pociągnięcia za kurek.

— Chwileczkę — rzekł spokojnie kapitan Malu, wyciągając ręce. — Niech mi go pan pokaże.

Zwrócił broń ku morzu i pociągnął za kurek. Nastąpił silny wybuch i jednocześnie z ostrym trzaskiem mechanizmu gorący i dymiący nabój przeleciał wzdłuż pokładu. Szczęka Bertiego opadła w zdumieniu.

— Czyż nie przesunąłem lufy? — zawołał — Muszę przyznać, że to było głupio z mojej strony.

Roześmiał się z przymusem i usiadł na krześle. Krew odpłynęła z jego twarzy, pozostawiając ciemne koła pod oczyma. Ręce mu drżały tak, że nie mógł włożyć do ust dygocącego papierosa. Świat się nim tak zajmował, a oto był sam, z czołem zroszonym potem na pokładzie okrętu.

— Rzeczywiście... — zaczął mówić — rzeczywiście...

— Bardzo ładna broń—rzekł kapitan Malu, zwracając mu pistolet.

Za zgodą komisarza, znajdującego się na pokładzie „Makembo“ w powrotnej drodze z Sydney, zatrzymano cię w Ugi, by wysadzić na ląd misjonarzy. W Ugi zaś stała na kotwicy „Arla“ z kapitanem Hansenem. Był to jeden z wielu okrętów, będących własnością kapitana Malu i za jego sprawą oraz na skutek jego propozycji Bertie przyjęty został tam jako gość na przeciąg czterech dni żeglowania wzdłuż wybrzeży Malaita. Następnie „Arla“ wysadzić go miała przy plantacjach Reminge (również będących własnością kapitana Malu), gdzie Bertie miał pozostać około tygodnia, by udać się następnie do Tulagi, siedziby rządu, gdzie miał być gościem komisarza. Kapitan Malu miał na sumieniu jeszcze dwa polecenia, po daniu których znika z niniejszego opowiadania. Jedno z nich dane było kapitanowi Hansenowi, drugie p. Harriwel, zarządzającemu plantacją Reminge. Oba dwa te polecenia były jednobrzmiące — chodziło o danie p. Bertramowi Arkwright możliwości dokładnego wniknięcia w pierwotne

i krwawe życie na wyspach Solomon. Szeptano również, że kapitan Malu wspomniał, jak doskonale je pozna p. Arkwright.

— Tak, Swartz był zawsze ciężko głupi. Widzi pan, wziął czterech ze swej załogi do Tulagi dla ukarania ich — oficjalnie, rozumie pan — i później powracał łódką, używaną do połowu wielorybów. Była wielka fala i łódka się wywróciła. Swartz był jedynym, który utonął. To był oczywiście wypadek.

— Wypadek? rzeczywiście? — zapytał nawpół zainteresowany Bertie, uważnie wpatrując się w czarnego człowieka przy kole.

Ugi pozostała już poza niemi i „Arli“ płynęła po przez pogodne morze ku zadrzewionej Malaita. Sternik, który tak zainteresował Bertiego, zwracał uwagę ozdobą nosa, którą stanowił długi gwóźdź, przekłuwający go jak szpilka. Na szyi miał sznur mieniących się guzików. W muszle uszne wtłoczył sobie scyzoryk, połamaną rączkę od szczotki do zębów, glinianą fajkę i kilka wystrzelonych naboju. Na piersi zwieszała mu się połowa porcelanowego półmiska. Około czterdziestu podobnie postrojonych, czarnych leżało na pokładzie, piętnastu należało do załogi „Arli“, reszta była świeżo do robót zrekrutowana.

— To był oczywiście wypadek — odezwał się pomocnik kapitana, Jacobs, chudy, ciemnooki mężczyzna, bardziej podobny do profesora, aniżeli do marynarza. — Johnny Bedip miał niedawno podobny wypadek. Przywoził kilku wychłostanych i oni go wywrócili. Lecz on umiał pływać równie dobrze, jak oni, a dwu z nich utonął. Użył listwy okrętowej i rewolweru. To był oczywiście wypadek.

— Ogromnie wygodne są takie wypadki — zauważył kapitan. — Widzi pan tego człowieka przy kole, p. Arkwright? To ludożerca. Sześć miesięcy temu, on i reszta załogi utopili ówczesnego kapitana „Arli“. Zrobili to na pokładzie, proszę pana.

— Pokład dziwnie wyglądał — rzekł pomocnik.

— Jak to... — zaczął Bertie.

— Właśnie tak, — rzekł kapitan Hansen. — To było wypadkowe utonięcie.

— Na pokładzie?...

— Właśnie. Mogę panu powiedzieć, naturalnie w tajemnicy, że użyli siekiery.

— To ta obecna pana załoga?

Kapitan Hansen skinął potakująco głową.

— Tamten kapitan był nazbyt niebądy, — zauważył pomocnik. — Stał tyłem, gdy mu się to wydarzyło.

— My nie możemy tu zdjąć maski — skarżył się kapitan. — Rząd staje zawsze w obronie Murzyna przeciwko białemu. Nie ma pan prawa strzelić pierwszy. Musi pan pozwolić, by pierwszy strze-

lił Murzyn, inaczej rząd uzna pana za mordercę i zesła na Fidżi. Dlatego jest tak wiele wypadków utonięcia.

Podano obiad. Bertie z kapitanem poszli go zjeść, pozostawiając pomocnika czuwającego na pokładzie.

— Uważaj na tego czarnego djabła, Aniki, — rzekł, odchodząc, kapitan. — Zauważyłem przed kilku dniami, że ma dziwne spojrzenia.

— Rozkaz — odrzekł pomocnik.

Obiad szedł zwykłym trybem i kapitan był w środku opowiadania o zagładzie okrętu „Scottish Chiefs“.

— Tak — mówił. — To był najpiękniejszy okręt na całym wybrzeżu. Lecz gdy przybijał i zanim mógł znów żagle rozwinąć, rzuciły się ku niemu łodzie krajowców. Było ich pięćiu białych; załoga z dwudziestu chłopaków z Santa Cruz i Samoa, a tylko jeden uszedł z życiem. A było jeszcze sześćdziesięciu, wieszonych na roboty. Wszyscy zostali kai-kai.

— Kai-kai?

— O, przepraszam pana. To znaczy, że zostali zjedzeni. Potem przysła kolej na „James Edwards“, ślicznie wyekwipowany —

Lecz w tej chwili usłyszeli siarczyste zakłęcie i chór dzikich wrzasków, potem trzykrotny strzał z rewolweru i plusk. Kapitan Hansen zerwał się natychmiast; wzrok Bertiego został zamagnetyzowany przez błysk jego rewolweru w chwili, gdy wybiegł. Szedł on bardziej podejrzliwie i wahał się chwilę, zanim wysunął głowę na pokład. Pomocnik krążył zdenerwowany z rewolwerem w ręku. Nagle stanął i szybko się odwrócił, jakby jakieś niebezpieczeństwo groziło mu od tyłu.

— Jeden z krajowców wleciał do morza — rzekł dziwnie sztucznym głosem. Nie umie pływać.

— Który to? — zapytał kapitan.

— Aniki — brzmiała odpowiedź.

— Lecz zdawało mi się, że słyszałem strzały — rzekł pełen drżącego zapалу Bertie. Węszył awanturę, i to awanturę, która się szczęśliwie skończyła.

Pomocnik zwrócił się ku niemu, mrużąc:

— To nędzne kłamstwo. Nie było żadnych strzałów. Murzyn wpadł do morza.

Kapitan Hansen patrzył na Bertiego nieruchomemi, połyskującymi oczyma.

— Ja... ja myślałem — zaczął Berite.

— Strzały? — rzekł sennie kapitan Hansen. Strzały? Czy pan słyszał jakie strzały, panie Jacobs?

— Nie słyszałem — odrzekł p. Jacobs.

Kapitan spojrział na swego gościa tryumfalnie i rzekł:

— Oczywiście wypadek. Chodźmy, p. Arkwright, skończyć obiad.

(c. d. n.).

Kanclerz Skarbu.

Chodzi ptaszek po ulicy,
szuka w gnoju ziarn pszenicy,
a ja w błędnem kole stoję,
jak i poprzedniki moje.

(Na nutę: „Idzie Maciek, idzie“...)

Idzie Władzio idzie,
robić ład w finansach.
Rozgląda się w starych
i nowych bilansach.
Włos na głowie staje dęba
i wykrzywia mu się gęba,
bo bida, bida, bida,
straszna bida!

Finansowa Polska
chodzi dalej struta,
bo na łeb na szyję
wciąż leci waluta.
Chcą złotemi przezwąć marki,
lecz kpią z tego niedowiarki...
A to ci bida, bida,
wielka bida!

Ze za Bilińskiego
skoczyły korony,
byłem z tego bardzo
niezadowolony.
Niechaj wedle mojej miarki
teraz nam poskaczą marki.
Inaczej będzie bida,
bida, bida.

Piszę atramentem
rozkaz na papierze:
każdy, kto korony
ma, niech marki bierze.
Bom ja koron wróg zjadły,
już kazałem, żeby spadły.
Więc z niemi będzie bida,
bida, bida.

Ale bardzo krasną
 marka ma naturę:
 na rozkaz ministra
 nie chce skakać w górę —
 a w giełdowym tym łamańcu
 spisie się, jak ktoś tam w tańcu.
 I dalej będzie bida,
 bida, bida.

Benedykt Hertz.

Ze sztuki.

Wystawa rysunków z Pomorza.

Pod kierownictwem prof. politechniki warszawskiej, p. Zygmunta Kamińskiego, wyjechało kilku młodych architektów, jego uczniów, w specjalnym celu odtworzenia rysunkowo charakterystycznych gmachów Gdańska i innych miast Pomorza i Prus Zachodnich. Rezultat tej wycieczki artystycznej okazał się wspaniały. Dawno już w salonach Zechęty nie było tak interesującej wystawy, mimo tematów specjalnie architektonicznych, jakie się na nią złożyły. Rysunki, zarówno samego profesora, jak i każdego z młodych artystów-architektów, posiadają dużą wartość artystyczną, albowiem, praca każda z wystawionych, oprócz zalet technicznych, odznacza się indywidualnymi cechami odtwórcy, nie wyczuwa się przeto szablonu, jaki zwykle w rysunkach architektonicznych jest stosowany, lecz każdy odtworzony gmach posiada wybitną fizjognomję, wyraz i życie.

Wspaniały afisz wystawy, oraz większość prac wystawionych, nadaje się do wydania jako teka, mogąca być ozdobą nietylko przeciętnego salonu, lecz wzbogaceniem każdego zbioru artystycznego.

Kraj nasz obfituje jeszcze w wspaniałe dzieła architektury epok minionych. Gdyby wycieczki artystyczne podobne, jak ta do Gdańska, były i do innych dzielnic kierowane, wydałyby plon bardzo pożądany, albowiem wzbudziłyby zamiłowanie w szerszych masach publiczności naszej do tego rodzaju dzieł sztuki, oraz zaznajomiłyby z zabytkami, o istnieniu których mało kto wie.

Może prof. Kamiński, oraz p. p. Brukalski, John, Sosnkowski, Pniewski, Henneberg, Lindeman, Gelbard obdarzą nas jeszcze pracami podobnymi do obecnie wystawionych, a tak artystycznie dobrych.

Noakowski — architekt-pedagog.

Jest to utanta prawda, że trudno być prorokiem we własnym kraju. Dobrze, gdy człowiek taki chociaż u schyłku dożyje uznania swej pracy, lepiej jeszcze, gdy dla dobra swoich pracować może już bez większych przeszkód.

W takim położeniu znajduje się Stanisław Noakowski, architekt teoretyk, który, przed laty, nie mógł w kraju pracę odpowiednią jego wielkiemu talentowi uzyskać i był zmuszony wiedzą swą i zdolności poświęcić wyższym zakładom naukowym w Rosji. A jest on jednym z najwybitniejszych znawców architektury wszech epok i narodów, a wprost genialny odtwórca form architektury polskiej i ducha w niej zawartego.

Gdy zmuszony wypadkami wojny, Noakowski do kraju wrócił i na wystawie architektonicznej odbudowy miast polskich wystawił swoje znakomite rysunki — kompozycje, oparte na tematach polskiej architektury, powstał wśród architektów i artystów głos zachwytu, którego echo odbiło się i w pośród szerszej publiczności.

Zaproszony Noakowski począł wyklądać dzieje rozwoju architektury naszej, wywodząc pokrewieństwo jej form od form architektury innych narodów europejskich, ilustrując swoje wykłady genialne rysowanemi szkicami kredą na tablicy, wobec zasłuchanego i zdumionego taką techniką audytorjum. Gdziekolwiek Noakowski wykląda (obecnie na Wolnej Wszechnicy Polskiej) ma zawsze tłumy słuchaczy wdzięcznych, umiejących wyczuć i ocenić wielką wiedzę i talent, teraz bardzo popularnego profesora.

Zaproszony przez Wydział humanistyczny Wolnej Wszechnicy Polskiej, Noakowski wyklądać będzie w roku akademickim 1920/21 dzieje rozwoju form architektury od czasów najdawniejszych (a więc od architektury egipskiej) aż po czasy nasze.

Słuchaczy pragnących pogłębić swą wiedzę sympatycznemu profesorowi nie zbraknie.

Jackowski, Pamianowski, Lustgartenowa. — Wystawa bieżąca w Zachęcie.

Oglądając wystawione w Zachęcie pojedyncze czy zbiorowe prace rzeźbiarskie i porównując ich wartość artystyczną z malarstwem, z konieczności przychodzi się do wniosku, że rzeźba polska w oryginalności i doskonałości niedorównywa malarstwu, a więc stoi na wiele niższym od niego poziomie. To też, wielkiej liczbie malarzy wybitnych, prace których świadczą nie tylko o zdolnościach, ale i o poszukiwaniach form nowych, lub o rozwiązywaniu problemów świetlnych czy barwnych, można przeciwstawić zaledwie trzy nazwiska rzeźbiarzy miejscowych: Kamińska, Kuna i Wittyg.

W rzeźbie, jak i w malarstwie, prócz sprawności technicznej i odpowiedniego do tematu i materiału traktowania linii, płaszczyzn i brył, wymaga się indywidualnego, a więc oryginalnego ujęcia i odtwarzania, a raczej przetwarzania natury, bez czego żadna praca malarza czy rzeźbiarza nie będzie prawdziwym dziełem sztuki.

Jak dotychczas, rzeźba nasza jest przeważnie nudna i banalna.

Nie innemi są prace rzeźbiarskie Stanisława Jackowskiego, któremi ten artysta wypełnił aż dwie sale w Zachęcie. Bez porywu młodości, życia i siły, wykonane bez temperamentu artystycznego, nie ma w nich nawet ukochania natury, nawet poprawnego jej odtworzenia, tylko przesadna wielkość rozmiarów świadczyć ma o monumentalności stylu, gdyż artysta naiwnie sądzi, że wielkość rozmiarów a posagowość w sztuce to jedno.

Tem chyba też tłumaczyć należy, że p. Jackowski ośmielił się przeznaczyć jedno z najbardziej monumentalnych dzieł sztuki klasycznej greckiej, nieumiawszy wydobyć zeń nic, prócz karykatury.

Bosko-piękna, majestatem wspaniałych form porywająca, unosi się Nike z Samothrake gołsząc zwycięstwo Greków. I oto, ten przedudny posąg w karykaturalnem przeznaczeniu ochrzcil p. Jackowski, jako Nike z Belwederu!!

Czyż to nie pachnie interesem?

P. Jackowski nie zastanowił się, że Nike z Belwederu musi być tak majestatem piękna i tak wzniosła, jak Nike z Samothrake. A przytem musiałoby być oryginalnie polską. Karykatura, wykonana przez p. Jackowskiego, mająca być, według niego, jakowąś Nike, spogląda w błoto, a żadne skrzydła ku niebu jej nie wzniosą.

Prace p. Jackowskiego zwracają uwagę ilością, nie jakością. Powtarzane wielokrotnie w różnych rozmiarach, wykonane w marmurze prawdziwym, sztucznym, gipsie i bronzie, świadczą również, że artysta włożył w nie nie tylko dużo trudu ale jeszcze więcej pieniędzy. W obecnych, ciężkich niezmiernie dla polskich rzeźbiarzy czasach, może to paskarzom i aferzystom zaimponuje.

Prysłowie greckie głosi: iż wybrańcy bogów umierają młodo. Żal jednak talentu gdy przedwcześnie kładzie się do mogiły. To też z rzewną sympatją spoglądamy na kilka obrazów **Pomianowakiego Stefana**, młodo zmarłego artysty, gdyż z tych prac jego skromnych a szczerych wieje serdeczność uczucia, miła prostota wizji, dobre odczucie efektów natury. Bezpretensjonalność odczucia i odtwarzanie swojskiego krajobrazu podkreśla wartość artystyczną tych prac tak sympatycznie się wyróżniających.

Kobiety artystki nasze, występując w coraz liczniejszym szeregu w szranki zawodowe, świadczą swemi pracami iż w nieczem męczyzynom nie ustępują. Wiele kobiet artystek wprost zajaśniało talentami.

Szereg dobrych małarek powiększyła pani Lustgartenowa Helena. Studja główek, całych postaci kobiet, a szczególnie dzieci, dobrze rysowane, dobre w wyrazie, miłe w jasnych tonach, posiadają duże zalety. Pastelując lekko swe rysunki, artystka rozkłada w nich światło dużo lepiej, aniżeli to czyni w studjach malowanych olejno.

Dlaczego rozwieszono w jednej sali, obok siebie, prace trzech wybitnych akwarelistów, o bardzo różniących się talentach? Augustynowicz, naturalista zmiękczejący formy, Skoczylas, stylizujący barwy i formy ale w nich zdecydowany i Gawwiński subtelny w wizjach kolorystycznych, nie powinni, bez szkody, mieć prace swe zawieszono w jednej sali. Jeżeli takie umieszczenie miało być eksperymentem porównawczym, to rezultat jego wypadł ujemnie.

W. Trojanowski.

Przegląd muzyczny.

Filharmonja, operetka.

II*)

Z muzyki symfonicznej, której przybytkiem jest **Filharmonja**, uważam za stosowne wymienić najpierw oryginalne dzieło młodego kompozytora polskiego P. Pytla. Oryginalne, naturalnie niezależnie od silnego wpływu Wagnera, od którego się nasz kompozytor wyzwolił jeszcze nie zdołał. W każdym razie dzieło talentu, o świeżej inwencji i ciekawej instrumentacji, zatytułowane „Legenda o św. Jerzym“. Z ciekawszych rzeczy — usłyszeliśmy w ostatnim tygodniu pod dyrekcją p. Młynarskiego — poemat symfoniczny Straussa „Tak rzecze Zaratustra“, — drugi z rzędu w tym sezonie. (P. Młynarski wykonał w połowie sezonu, także „Śmierć i wyzwolenie“ tegoż Straussa). Nad straussowską muzyką symfoniczną, którą podziwiam, — zachwycać się nią ani wzruszać nie umiem — przenoszę niektóre pieśni jego. Nie najpiękniejsze z nich wykonała na jednym ostatnim z poranków — p. Comte-Wilgocka, śpiewaczka z kulturą, o nieco jaskrawym głosie sopranowym, nie we wszystkich partjach jeszcze zupełnie pewnie intonującym. Józef Słowiński, stanąwszy — ku zdumieniu jeszcze nie wiedzących — przy pulpicie kapelmistrzowskim, zaprodukował reklamowany poemat symfoniczny Liszta „Faust“ nie mogąc dopatrzeć się w tem dziele tych nadzwyczajnych piękności, jakie widzą w niem niektórzy. Ale Słowiński dał się poznać z nowej zu-

*) Patrz Nr. 21 „Trybuny“ z 29 maja.

pełnie strony i jaknajlepiej: dyrygent z niego, pewny już siebie i najzupełniej wprawnie kierujący orkiestrą, której umie narzucić swoje intencje, sumienny, baczący na każdy szczegół. Kilka tygodni później zasiadł Śliwiński znów przy fortepianie: już nie ten sam, co wprzód. Kto indywidualność posiada tak subiektywistycznie zakrojoną, tak lirycznie kapryśną, jak Śliwiński — nad tym lata nie przepływają bezkarnie. Twórczość klasyczna, beethovenowska znalazła wyraz w wykonaniu „IX-ej symfonji“ — pod dyrekcją Z. Birnbauma. Produkcja ta, powtarzana kilkakrotnie w towarzystwie zmieniających się dodatków, była poprawna, ale bez tej potęgi, wielkości, jaka cechuje ową beethovenowską symfonję najpotężniejszą.

Jeden z najpiękniejszych koncertów w Filharmonji poświęcony był wyłącznie muzyce francuskiej. Z pośród świetnych wykonawców wymienić muszę przedewszystkiem jedną z najlepszych, najsubtelniejszych obok Argasińskiej, polskich pieśniarek estradowych — Stanisławę Szymanowską i świetnego dyrygenta, Henryka Opieńskiego. Z ust Szymanowskiej — z pod batuty Opieńskiego płynęła pełna wdzięku i ekspresji muzyka, poczawszy od Rameau do Debussy'ego i Faure'a. Rzecz dla mnie niezrozumiała: dla takiego doskonałego muzyka, takiego pełnego kultury, sprężystości ale i elegancji dyrygenta, jak Opieński, nie znalazła się u nas dotąd żadna odpowiednia placówka.

Jeden z koncertów poprowadził kapelmistrz berliński, z pochodzenia podobno Warszawianin, Ignacy Waghalter. Wykonane zostały rzeczy znane („Leonora Nr. 3“, „Wstęp do Tristana i Isolady“, „Patietyczna Czajkowskiego“) — z jakąż jednak maestrią i co do treści i co do formy techniki dyrygenckiej!.. Orkiestra stała się w jego rękach — jednolitym, jednym instrumentem, który w lot chwycił najnieznaczniejszym z pozorów ruchem wypowiedzianą myśl kierownika-wykonawcy.

Z solistów — wystąpił z jednym koncertem pianista polski światowej dziś już sławy, Ignacy Friedman: mistrz fortepjanu — jako indywidualność czasami wprost nieprzyjemny, bo trywialny, mimo pozorów subtelności: — to byłby sąd mój o Friedmanie, jeśli chciał go zmieścić w paru słowach. Grał na skrzypcach Kochański, Dubiska, Lili Hakowska, Fliederbaum, z pianistów jeszcze wybitnie utalentowany i głębszy Józef Turczyński i — ostatnio po raz trzeci z rzędu — dla mnie z pośród młodych, wschodzących talentów jeden z najciekawszych, już dziś zachwycający poeta fortepjanu: Wiktor Łabuński.

Nie mogę przy sposobności, nie zwrócić czytelnikom uwagi, że do „przeglądu“ mojego z lutego (Nr. „Trybuny“ 8 (20) z 28 lutego b. r.) — pod koniec, prócz paru innych błędów drukarskich — zakradło się opuszczenie nie czego innego, jak właśnie nazwiska „Stefana Askenazego“; o tym to właśnie pisać miałem na str. 252 w 27 (od góry).

„Nowości“ wznowiły.. potrosze już przyplesniała „Wesola wdówkę“ Lehara. Manja samych wznowień udzieliła się zaraźliwie widocznie i p. Sliwińskiemu.

J. R.

Kronika polityczna.

Co powinniśmy wiedzieć o Rosji.

Pod tym tytułem („What We Want to Know About Russia“) ukazał się artykuł w poważnym tygodniku angielskim (socjalistycznym) *The New Statesman* z dn. 1 maja.

W artykule tym postawiono cały szereg pytań, które mają być wytyczniami dla delegacji Partji Pracy (Labour Party) udającej się do Rosji.

W naszym narodowo-państwowym interesie leży, by prasa i politycy nasi zapoznali się z tym artykułem, by wiedzieć, jak angielskie czynniki polityczne ujmują życiowe zagadnienia. Wtedy rozmowa Lloyd George'a z bolszewikami nie będzie się wydawała tak „dziwna“.

Artykuł podajemy w najbardziej istotnym streszczeniu.

Deputacja angielskiego stronnictwa Pracy udała się do Rosji w celu zbadania politycznych i gospodarczych warunków oraz dla zorientowania się na jakim stoją stanowisku i jakie są idee i metody obecnych leaderów Rosji Sowieckiej. Dotychczas nie można było nie wyczuć, że wszystkie „jedynie prawdziwe“ informacje z jakichkolwiek by źródeł nie pochodziły, były bardzo niedostateczne i raczej dezorientujące. Mamy nadzieję, że obecna deputacja Pracy pomoże nam do rozważania bolszewickiej Rosji, jako problemu ludzkiego, a nie jako ojezyny złych duchów.

Rzecz prosta, że rzucenie właściwego światła na sytuację w Rosji zależy od stopnia zgłębienia kwestji przez delegację lub osobę. Większość tych, którzy dotychczas dzielili się z nami swemi spostrzeżeniami nie była zdolną do tego. Ukazywały się artykuły i rysunki o tendencji anti-bolszewickiej, a więc tylko jednostronnie, nie dające pojęcia o całości. Fakty, odnoszące się do obecnego ekonomicznego położenia Rosji są przekonywujące, lecz nie są one tem, co chcielibyśmy wiedzieć. Najważniejszą jest dla nas bolszewic-

ka ideologia i wpływ jej na sytuację w Rosji zarówno jak i na sytuację międzynarodową, ekonomiczną i socjalną. Tu deżec powinien punkt ciężkości badań delegacji. Powinna zbadać czego usiłowali dokonać bolszewicy, jakie stosowali metody i w jakim stopniu, oraz przy jakich zmianach spowodowanych przez okoliczności zewnętrzne przeprowadzili część swych zamierzeń. Powinna wykazać jak dalece spalał się idealizm w walce; w jakim stopniu system sowieńców, lub coś do niego podobnego, jest koniecznym wynikiem bolszewizmu, czy też bolszewizm jest wynikiem sowieńców.

Jeśli otrzymamy wyczerpujące odpowiedzi na wszystkie pytania, będziemy jasno zdawali sobie sprawę z sytuacji, jaka wytworzyła się w Rosji, z systemu sowieńców i stosunku bolszewizmu do międzynarodowego socjalizmu i polityki światowej. Należy by delegacja badała fakty, jako przejawy ideologii, która zresztą nie jest nam zupełnie obcą ze strony teoretycznej.

Specjalną uwagę winna zwrócić delegacja na trzy następujące kategorie zagadnień:

1) polityczne, gdzie rozważać należy jak działa obecnie system sowieńców, jaka jest jego organizacja w najdrobniejszych szczegółach, w jakim stopniu są samodzielnymi sowieńcy okręgowe i miejscowe, czy „władza w rękach sowieńców“ nie znaczy „całkowita władza w rękach komisarzy i stronnictwa komunistycznego“. Głównie zaś należy by delegacja zbadała, czy sowieńcy są wynikiem specjalnych rosyjskich warunków, czy też spotykamy objawy analogiczne w innych krajach w rozwoju rewolucji, czy jest to system rządu, który trwać będzie tylko w czasie rewolucji, czy też przekształci się w stałą formę rządu;

2) ekonomiczne i przemysłowe, gdzie rozważać należy w jakim stopniu komisarze ludowi wprowadzają w socjalizowanych przedsiębiorstwach biurokrację, czy system kontroli przemysłowej jest scentralizowany czy też lokalny, jaką władzę mają robotnicy. Ostatnio dochodziły wiadomości, że bolszewicy zaprzestali wszelkich eksperymentów kontroli przemysłowej czynionych w poprzednich okresach rewolucji. Jeśli tak jest, to czemu należy to przypisywać. Jakie jest obecnie położenie pracowników umysłowych, ich stosunek do Rosji sowieckiej i stosunek bolszewików do nich;

3) sprawy dotyczące szerokich mas wieśniaczych Rosji. Chcielibyśmy wiedzieć jak dalece życie chłopu lub jego poglądy zmieniły się pod wpływem rewolucji, jakie metody przyjęte zostały w rolnictwie, co czynią sowieńcy włościańskie i w jakim pozostają stosunku do centralnego i okręgowego Rządu, czy wciąż nie podlegają jego kontroli.

Jeśli delegacja będzie mogła odpowiedzieć na wszystkie trzy kategorie zagadnień, będziemy mieli materiał, na zasadzie którego będziemy mogli wygłosić sąd o Rosji. Niewątpliwie wyświetlenie

wszystkich tych kwestji dopomoże ruchowi. Pracy do zmiany orientacji; stanie się to nie na zasadzie denuncjacji lub oszustwa, lecz gołych faktów. A zwłaszcza dokładne zdanie sobie sprawy z tego, co w ciągu ostatnich dwóch lat działo się w Rosji będzie doskonałym politycznym wskaźnikiem. Należy, by ruch Pracy pjął, że warunki społecznego i politycznego postępu są nierozzerwalnie związane z psychologją każdego narodu i że mało pomogą pożyczane lekarstwa i pożyczane bożki.

Są w kraju naszym ludzie nazywający się sami bolszewikami, lecz wykluczonem jest, by entuzjaści ci rozniecić mogli bolszewizm w Anglii.

Życie gospodarcze.

Finanse Anglii.

Budżet angielski przedstawiony w kwietniu 1919 r., przewidywał deficyt 250 milionów funtów sterlingów, czyli 6.250 milionów franków.

W sześć miesięcy po tem, gdy okazało się, że wydatki przewyższają znacznie sumy przewidziane, dochody zaś są o wiele mniejsze, ustalono deficyt w wysokości 473 milionów funtów zamiast 250.

Dzisiaj deficyt ten wynosi 326 milionów funtów, czyli 8.150 milionów fr., licząc funt po 25 fr.

Budżet przedstawiony parlamentowi na rok następny jest następujący: dochody 1.418.300.000 £.; wydatki — 1.184.102.000 £. Nadwyżka ma pójść na zmniejszenie długu.

Budżet angielski przed wojną wynosił 208.000.000 f. Służba cywilna kosztowała w r. 1914 niespełna 700 milionów funtów, teraz sięga przeszło pół miljarda f. rocznie. Co szesnasty Anglik czerpie od państwa pieniądze pod tą lub inną formą. Urząd pocztowy wydawał przed wojną 26 milionów funtów, obecnie wydaje 50 milionów. Założenie Giełd Pracy kosztuje — tylko same budynki — 9.600.000 funt.

Uderza w budżecie angielskim wysokość ofiar żądanych od podlegających opodatkowaniu.

W ciągu roku suma ogólna dochodów państwa angielskiego wzrosła o 450 milionów funtów, czyli o 11 miliardów 250 milionów franków.

Podatki bezpośrednie dały skarbowi w roku 1919/20: podatek od dochodów, „supertaxe“, etc. 359 milionów funtów, podatek na t. zw. „exces profits“ 290 milionów funtów.

Suma tych dwu pozycji wynosi przeszło 16 miliardów franków.

Rząd angielski w czasie wojny, opodatkował bardzo dochody. Co więcej, ściągnął około 80% z dochodów wojennych.

Podatek na t. zw. „excess profits“ jest dalszym ciągiem tego. Dał on w roku ubiegłym 7 miliardów 250 milionów!

I wszystko to nie wywołało protestu ze strony opodatkowanych. Słusznie więc zauważa Louis Bertrand w „Le Peuple“ z dn. 12-go kwietnia, że Anglik lubi zarabiać, lecz poczuwa się do obowiązków obywatela, nakazujących mu płacić państwu tyle, ile potrzeba, aby mogło ono istnieć. A u nas w Polsce, kto się u nas do tych obowiązków poczuwa?

Oświadczenie pisarzy.

Oświadczenie pisarzy polskich lewicy społecznej na I-ym zjeździe Literatów:

Z racji pierwszego na ziemiach wolnej Polski Zjazdu Literatów my, lewicowi pisarze polscy różnych obozów i odcieni, wobec panującej w kraju reakcji, która w dziedzinie, bezpośrednio nas dotyczącej dochodzi aż do zakazu wystawiania w Polsce arcydzieł dramatycznych jej genjuszów, uważamy za swój obywatelski obowiązek oświadczyć, co następuje:

Wyzwolenie Polski nie jest dotychczas całkowite. Wysiłkiem bohaterów i zrządzeniem losów, opadły z niej więzy, dopiero zewnętrzne. Lecz duch Jej wolny nie jest, praca jest skrepowana, ucisk i wyzysk człowieka przez człowieka trwają. Walka o lepszą przyszłość dziś się jeno zaczyna. Nie wolno nam przyglądać się Jej z ubocza. Nie byłoby to zgodne z wielkimi tradycjami piśmiennictwa polskiego.

Dalecy jesteśmy od myśli o obowiązku jakiegś bezpośredniej służby społecznej pisarzy, -- od literatury i sztuki tendencyjnej. Znamy jej nikłą wartość, wiemy, jak odległy bywa nieraz związek pomiędzy działalnością artystyczną, odbijającą najistotniejszego ducha czasu, a -- wypadkami dnia, kierunkami i ugrupowaniami społeczno-politycznymi gromad ludzkich. Różnimy się zresztą znacznie między sobą w pojmowaniu, zarówno celów ostatecznych, jak dróg i środków walki, którą prowadzimy.

Gdy jednak do tego w Polsce doszło, że w kraju „ducha wiecznego rewolucjonisty“, w kraju, który tyłu wydał rycerzy wolności, dzisiaj sama nazwa rewolucjonisty i miano socjalisty publicznie bywają zmieważane, a reakcja groźną staje się nawet dla arcydzieł literatury, my, pisarze polscy lewicy społecznej, musimy zbiorowo dać tutaj świadectwo elementarnym prawdom i postulatom, będącym podstawą działania całego bez wyjątku obozu idealizmu społecznego.

Jesteśmy przekonani, że, po religijnem ongi zrównaniu wszystkich ludzi przed obliczem Bóstwa, po obywatelskiem zrównaniu ich przed prawem.

i po politycznym wyzwoleniu, przyjść musi również, w tej czy innej formie i ekonomiczne wyzwolenie człowieka, wyzwolenie pracy, myśli, talentu i twórczości z jarzma, jakie im ustrój społeczny narzuca.

Jesteśmy przekonani, że procesu tego nikt i nie już dzisiaj powstrzymać nie zdoła.

Wierzymy, że dopiero tak wyzwolona ludzkość zmienić się będzie mogła w rodzinę praworządnych, wolnych, swobodnie o sobie stanowiących i bratnio zrzeszonych narodów. Pozostawiamy życiu samemu wskazanie, która z dróg, jakimi różni z nas do wspólnego tego zmierzają celu, jest najwłaściwsza. Uważamy tylko, że bezwarunkowymi wrogami dążeń naszych są: egoizm narodowy i rasowy, zaborezy militaryzm, ideologia klas z wyzysku żyjących, kapitalistyczna i klerykałna międzynarodówka krzywdy i wstecznicstwa.

Za siłę zaś, której w zaszczytnym przypadku udziale urzeczywistnienie wielkich dążeń, uważamy świadome powołania, klasy pracujące i z nich wyłonioną, albo z niemi się łączącą i o nie opartą — inteligencję, w istotnym znaczeniu tego słowa, reprezentantkę myśli, kultury i organizacji.

Z oburzeniem przeto piętnujemy uprawianą przez reakcję metodę zwalczania wszelkich, czy to rewolucyjnych, czy nawet pokojowych dążeń do zmian społecznych, przez zohydzenie walczących o wolność, zarzucanie im zdrady kraju i przypisywanie celów niszczyielskich i anarchistycznych.

Uważamy, że metoda ta jest w istocie swej haniebna, bo na ciemnotę mas, nawet quasi-inteligentnych obliczona, a w wynikach zgubna, bo wypacza moralną i nieunikloną walkę grup społecznych, walkę o jutro świata, bo zmieprawia jednych, a rozgorycza drugich, ojóżnia nieuchronny proces uświadomienia i wyzwolenia mas ludowych, kompromitując przytem Polskę i narażając ją w oczach całego świata cywilizowanego na miano „ostoi reakcji“.

Niedopuszczalnym i dla kraju szkodliwym tym sposobem walki przeciwstawiamy się z całą stanowczością i ostrzegamy przed ich następstwami.

Stwierdzamy zarazem, że nie wolno Polski całej utożsamiać z tą pianą, która dziś płynie wierzchem prądu jej życia.

Stojąc pod znakiem walki o wyzwolenie pracy i ducha ludzkiego, ślemy braterskie nasze pozdrowienie wszystkim, jak my czującym i jak my walczącym.

K. Bleszyński, Z. Bohowityn, Wacław Budzyński, Leon Chrzanowski, Gustaw Daniłowski, Artur Górski, Cezary Jellenta, Karol Irzykowski, Wacława Kiślańska, Tekla Knollówna, Zygmunt Kisielewski, St. A. Kempner, Mieczysław Limanowski, Jan Lorentowicz, Jan N. Miller, Wacław Makowski, Romuald Minkiewicz, Zofia R. Nałkowska, Bronisława Ostrowska, Olwid, Wacław Rogowicz, Jan Rundbaken, Edward Słonski. Za grupę „Skamandra“ Jan Lechoń i Wł. Zawistowski, Standa Stanisław, Leon Schildenfeld-Schiller, Andrzej Strug, Artur Śliwiński, Aleksander Szczesny, Wacław Wolski, Bruno Winawer, Zofia Wojnarowska, za Redakcję „Zdroju“ Jerzy Hulewicz, Emil Żegadłowski, Stefan Żeromski.

W zwierciadle.

„Gdy hajdamacy mordem i pożogą probowali odebrać Polsce Ruś Czerwoną i Podole, **przedstawiciel Józefa Piłsudskiego**, socjalista Dłuski, wszystkimi sposobami starał się zaznaczyć, że socjaliści polscy są na dobrej stopie z Ukraińcami, i że właściwie Polsce Galicja Wschodnia niepotrzebna, bo to kraj ruski: stanęli zatem i tu socjaliści **po stronie rezunów hajdamackich przeciw Polsce**“ (str. 10).

Książk. poseł Lutostałowski: „Trucizna duszy chrześcijańskiej — socjalizm“.

A odpowiadając niektóry z zakonników, rzekł mu: Nauczycielu! to mówiąc i nas hańbisz.

św. Łukasz, roz. XI, 45.

Różności.

Czasopismo — prostytutek. Lwowska „Gazeta Wieczorna“ z 13 maja donosi, że w Hamburgu ma się ukazywać czasopismo „Weckruf“, poświęcone organizacji i obronie interesów prostytutek.

Pismo to jest pojmovane zupełnie poważnie i nie będzie miało nic wspólnego z pernografją; głównem jego zadaniem jest nieść uświadomienie społeczne i dać możność zorganizowania się tym za nawias społeczeństwa wyrzuconym istotom. Pomoc dla opuszczonych, chorych i znajdujących się w ostatecznej nędzy dziewcząt upadłych, stworzenie domu zdrowia i domu pracy, gdzie te kobiety mogłyby przyzwyczajać się do innego życia: — oto główne hasła tego oryginalnego bądź co bądź czasopisma. Najciekawszem jest, że redakcja otwiera swe łamy właśnie damom z półświatka, zapraszając je do współpracy i zwierzeń, oczywiście z wykluczeniem rzeczy intymnych.

Jest to prawdziwy znak czasu, kiedy te najmniej podatne sfery dla organizacji i obrony swych spraw — organizują się.

Prof. A. Meillet z Paryża, który przed paru dniami miał w Warszawie odczyt, zdaje się o językach słowiańskich, prócz tego, że jest pierwszorzędnym uczonym, pisującym swe książki cudowną francuzczyzną, uprawia potrosze i politykę i to właśnie w swych książkach naukowych.

(W dziele swym („Les langues dans l'Europe Nouvelle“, Paris, 1918) ubolewa, że „ostatnie wypadki, rujnując prestige rządu rosyjskiego, przyczyniły się do olebriania językowi rosyjskiemu możności odegrania roli naczelnego języka słowiańskiego“.

Na cywilizacyjną w dziejach rolę języka polskiego gniewa się co nieco p. A. Meillet.

1 Czy gniewał się i na odczycie w Warszawie?

List do Redakcji.

Szanowny Panie Redaktorze!

Nieznamy mi autor podpisuje od pewnego czasu w „Journal de Pologne“ swe artykuły pseudonimem Jastrzębiec, którego ja używam od 1908 roku.

Okoliczność ta jest dla mnie tem bardziej przykra, prowadząc do nieporozumień, że wspomniany współpracownik „Journal de Pologne“ ma polityczne i społeczne poglądy zupełnie od moich odmienne.

Nie mając się wspólnego z współpracownikiem „Journal de Pologne“, używającym tego samego, co i ja pseudonimu, zwracam się jednocześnie listownie do „J. de P.“, by jej współpracownik zaniechał nadal używania swego pseudonimu.

Łączę wyrazy szacunku

5 czerwca 1920 r.

Walery Jastrzębiec

Nadesłane do redakcji.

Książki:

Sprawozdanie z działalności Związku robotników przemysłu górniczego od początku jego istnienia, to jest za czas od 1-go stycznia do 31 lipca 1919 r. Fryształ, 1919 r. Str. 150.

Rocznik Spółdzielczy Z. R. S. S: 1920 r. Str. 115.

Karol Gide i Karol Rist. „Historja doktryn ekonomicznych od fizjokratów do czasów najnowszych“. Przełożył Mieczysław Kwiatkowski. — Tom I. Nakład Gebethnera i Wolffa. (Biblioteka Wyższej Szkoły Handlowej). Str. 405.

TREŚĆ Nr. 23: Nie wolno dłużej milczeć. (Ignacy Daszyński). — Organizacja pomocy lekarskiej I. (Napoleon Czarnocki). — Wrażenia delegacji na Kongres Kobiet w Ameryce II (dr. M. Bornsteinowa). — Ballada więzienia Reading, strofa 7—9. (Oscar Wilde). — Fraszki sejmowe. — Straszliwi Solomoniczycy (nowela Jack Londona). — Kanclerz Skarbu (satyra Benedykta Hertza). — Ze sztuki (Wincenty Trojanowski). — Przegląd muzyczny (J. R.). — Kronika polityczna: Co powinniśmy wiedzieć o Rosji. — Życie gospodarcze: Finanse Anglii. — Oświadczenie pisarzy. — W zwierciadle. — Różności. — List do Redakcji. — Nadesłane.

Administracja otwarta codziennie od g. 10—3 popoł. Redakcja od g. 3—4 pp.

Wydawca: Spółka wydawn. „Trybuna“.

Redaktor odp.: Wład. Wolert.

Odbito w drukarni „ROBOTNIKA“, Warecka 7.